

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 10 stycznia 1914 roku.

№ 2.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

2

Święta Helena... Jakież to dziwne, że dotychczas jeszcze nie była ani razu na ponurej, samotnej skałce, gdzie dręczył się i skonał w poniżeniu niewoli ów, który był ongiś najpotężniejszy?

Cicho zapukała do drzwi, cicho weszła mistress Brigs, która zawsze przychodziła w porę.

— Winszuję ci, miss Jenny. Matterhorn otrząsa się ze śniegu. Już jutro może być pogoda. Telefonowałam przed chwilą do syndykatu. Franz Abbeglen zapewnia, że do wieczora ucichnie wszystko.

— Nie wiesz, mistress Brigs, czy Franz ma już zamówienie na pierwszy dzień pogody?

— Ma już trzy. Nie mówiąc o tych, które odrzucił.

— Kto idzie pierwszy?

— Hickman.

— Wiecznie on! Może mu się uda nareszcie za tym razem.

— Franz go bardzo ceni, bo ma obiecać sto funtów szczytowego. Ale boi się go. Pechowiec, sprowadza burze, lawiny, obrywają się pod nim skały...

— Siódmy raz, jak idzie! To dziwne. Dlaczego Matterhorn tak uparcie go nie chce? Musi być po temu ważna przyczyna...

— Zapewne, są to sprawy tajemnicze...

— Mistress Brigs — kiedyż przestaniesz być materyalistką? Przynajmniej tutaj, w obliczu najstraszliwszego na ziemi...

— O tak. Szanuję niezmiernie... Ale wiesz, miss Jenny, że nie nie potrafię udawać.

— Bardzo cię za to cenię, mistress Brigs. Cóż Robert?

— Przebiera się do śniadania.

— Tak. Przebiera się... Czyż on jednak nigdy...

— O, miss Jenny. Nie dręcz go już

tym razem. Czyż on winien. Któż temu może być winien? Może jego matka, francuzka, paryżanka... To nie nasza rasa...

— Najsztubtelniejszy człowiek, jakiego znam. Jedyny, który mi nie jest nieznośny...

— Tembardziej powinnaś go zrozumieć. Taki człowiek nie może mieć zamiłowania do rąbania ludu ani do obcierania sobie rąk sznurami... Od tego jest Hickman i tylu innych. Mogę się urazić, miss Jenny, ale wszyscy ci alpiniści — znasz ich tylu — to brutale i tępe głowy... Nie różnią się niczem od przewodników.

— Ach ja, gdybym tylko mogła...

— Będiesz, będziesz mogła, droga miss Jenny. Profesor Wilson, dr. de Roberty, sam stary dr, Bethmann — a wiesz chyba, jaki on surowy — twierdzą, że niedługo już będziesz mogła. Wiesz dobrze, że to zależy tylko od ciebie. Pilnuj się! Niedługo powinniśmy stąd ruszyć. Jutro będzie pogoda — napatrzysz się, pojedziemy...

— Dokąd?

— Dokąd zechcesz... Wszystko jedno, hyleby niżej. Nie czujesz duszności?

— Teraz czuję się doskonale.

— Podają zaraz do stołu.

— Poproś go. Może wejść.

Jenny urwała z krzewu, rosnącego w olbrzymim wazonie, ciemnopąsową różę i przypięła do szaty, która nie była ani szlafrokiem, ani płaszczem, ani kimonem — czemś osobliwie powłóczysem i drażniącym. Jak wszystko, co ją otaczało. Nie spojrzała w lustro, gdyż nie znosiła odbicia swojej postaci. W żadnym z jej domów nie było luster. Zresztą, oczekiwała spokojnie, obojętnie.

— Witam cię, miss Jenny, sądzę, że czujesz się dobrze, choć pogodę mamy opłakana...

— Witam cię, Robercie. Jakże się miewasz? — spytała, jakgdyby się widzieli wczoraj.

— Cieszę się, że cię mogę oglądać... I że chcesz ze mną spędzić parę chwil.

— Zawszem ci rada. Ale wiesz, że tak rzadko mogę znosić ludzi... Podróżniesz?

— Tak — chciałem się trochę rozerwać.

— Jedziesz gdzie dalej?

— Nie wiem jeszcze, miss Jenny. Prędzej tobie to wiadomo. Wszak jestem twoim cieniem.

— Przykro mi, że się przeze mnie dręczysz. Ale cóż ja temu winna?

— O, ja się nie skarzę. Jestem najszczęśliwszy, jeżeli cię mogę choć rzadko zobaczyć!

Z oczu młodego człowieka było uwielbienie. Jego smętna, piękna twarz mieniła się pod nawalem wzruszenia. Pragnął upaść do stóp Jenny i lkać ze szczęścia i bólu, pragnął wypowiedzieć jej bezmiar swojej tęsknoty w słowach nadzwyczajnych, najpiękniejszych, najgłębszych. Siedział sztywno w wytworzonym stroju obiadowym, wyrażał się oględnie i poprawnie. Zdradzały go tylko oczy i cienie nieuchwytnych, szybkich drgań, przebiegających po jego pobludłej twarzy.

— Cóż u was w domu? Tak dawno nie widziałam Katty...

— Katty wyszła za mąż...

— Ach, aż tak?...

— Są teraz w Paryżu...

— Niecierpię tego miasta — za to, że jest piękne. Wolę już nasze piekielne Avenue i bezecne drapacze. To właśnie jakby stworzone dla dzisiejszych ludzi. Za kogoż to wyszła Katty?

— Geldziarz z Frisco, młody Hollwegh, człek najzwyczajniejszy...

— Szkoda mi Katty — miała tak marzące oczy, niski, piękny głos...

— Nie żałuj jej, Jenny. Katty jest sobie nader zwyczajną osobką.

— A jakże zdrowie ojca?

— Umarł przed rokiem. Powiedz mi, Jenny... Tak chciałbym zapytać... Ach, spojrzij na mnie dobrym wzrokiem! Ośmiel mnie! Boże! Czuję się przy tobie, jak wobec bóstwa...

— Poczekaj jeszcze, Robercie, — odrzekła, nie patrząc na niego, — zostawmy to na później. Powiedz mi lepiej, co tam słychać na świecie. Ty bywasz między ludźmi, czytajesz gazety... Co tam nowego?

— Codzień mnóstwo nowin... A wistocie nie się nie dzieje. Polityka, wybory, katastrofy kolejowe, wielkie strajki, dzuma w Indjach, zjazd monarchów w Pradze czeskiej...

— Jak ludzkość może żyć tem wszystkim? Powiedz, Robercie, czy nie wydaje ci się to wszystko farsa, wymyślona dla zabawy paru ludzi? Kto wie — świat może mieć nawet taki cel istnienia...

— Nie zastanawiałem się nad tem nigdy. Ludźmi gardzę, nie dostrzegam ich, nie widzę, nie czuję wkoło siebie i już...

— A cóż widzisz?

— Ciebie — ciebie — ciebie jednę...

Rozmowa urwała się. Mistress Brigs prosiła do stołu. Zasiadli, obsługiwani przez ludzi w czarnych strojach, snujących się cicho, jak cienie. Robert opowiadał w tonie światowym, z obowiązującym ożywieniem, z uśmiechem, z dowcipem, zwyczajnie.

Na dole w Zermatt przepełnienie w hotelach i palace'ach. Wszyscy czekają pogody i nudzą się straszliwie. Wczoraj towarzystwo znudzonych anglików wyruszyło na włoską stronę przez wschodnią przełęcz Matterhornu. Wybierali się, jak pod biegun. Poszło z nimi po dwóch przewodników na każdego. Podobno jednak niema w tam żadnego niebezpieczeństwa.

Całe Zermatt żegnało ich, jak straceńców. Inni z nudów tańczą co wieczór w hall'ach hotelowych — towarzystwo pomieszało się zupełnie. Przyjechała Armia Zbawienia z ogromnymi trąbamj. Jakiś wędrowny prelegent ogłasza się z odczytem o lodowcach. Wszyscy bezustanku kupują fotografie i nieszczęsne wyroby z drzewa. Niehawem zabraknie fotografii i wyrobów z drzewa i nastąpi rewolucja socjalna we wszystkich hotelach i palace'ach. Na pociechę codziennie obiecują pogodę.

Po deserze mistress Brigs przeprosiła towarzystwo. Miała coś do załatwienia w Zermatt. Jenny kazała podać czarną kawę na balkon. Służba znikła, jak cienie, cisza zaległa dom. Ustał wicher, wyjaśniło się nieco. Mgły wyrównywały się na wyżynie, odsłaniając lodowiec, oślepiąco biały od nowego śniegu. Wszędzie biało, na zboczach, na zrębach skał. Czerniały tylko głębokie

kominy i pojedyncze strzeliste turnie, na których nigdy nie utrzyma się śnieg.

Jenny z rozkoszą wodziła oczyma po jasnym, szerokim świetle. Robert spojrział na nią błagalnie, z rozpaczą. Już dostrzegł znajome piętno ekstazy, zapamiętania. Wrozszerzonych źrenicach przeblyskiwały momenty jakiejś obłąkanej radości.

— Jenny...

— Patrz, Robercie... Zbliża się najwspanialszy moment w misterium gór! Wśród nawały chmur czyni się coś niepojętego — tam, w otchłaniach skał. Żaden człowiek jeszcze nie przeniknął tego... Tajemnica! Długie dnie, długie noce... Wichry, nawałnice śniegowe, lawiny... Góry spędziły z siebie nędznych ludzi, wszystkiego ciekawych, natrętnych, wszędobylskich, zwaryowanych rekordmenów, turystów, uczonych...

Na parę dni zechciały być wolne — same ze sobą. A teraz znowu mają okazać oczom ludzkim swoje chwałę... Wielka chwila! Nigdy królewskość Matterhornu nie okazuje się wspaniale, jak w momencie gdy się odsłania. Cudny jest za pogody — jeszcze większy, groźniejszy, kiedy chmury zaczynają się przerywać, kiedy przez okna, wybijane w zasłonie mgieł, ukaże się górne piętro lodowca, nad nim czarna ściana... Wynurzy się sam cypel szczytu, jak wyspa wśród morza chmur... Zawsze oszuka oczekiwanie oczu ludzkich, zawsze wyłoni się powyżej, niż się go szuka... Rośnie w oczach, przebija niebo... Ach! Robercie...

I podniosła roznamiętnione oczy ku niebu, tam, gdzie spodziewała się ujrzeć szczyt, wypływający z chmur.

Robert mógł mówić, co tylko chciał, mógł żebrać, szaleć, tarzać się u jej stóp — wiedział, że na tę chwilę już nic nie rozumie. Pozostanie przy nim nieobecny. Dusza jej pełna jest oczekiwania owego „cudu“. Zanim nie ukaże się przeklęty szczyt, napróżno kołatać do tej opętanej duszy. A kiedy się ukaże — tem gorzej...

Znowu będzie musiał słuchać jej chwalebnych modłów do martwej skały, być świadkiem zachwytów i namiętnych umiesień. Ona się kocha w przeklętym szczycie, kocha się, jak kobieta. Ona za nim szaleje, drży w oczekiwaniu niepojętej rozkoszy. Tu, w jego obecności, odbywa się dzieło miłosnego obłądzenia.

Robert ścisnął rekoma głowę. Whił oczy w ziemię. Czuł, że szal rozpaczy zaczyna macieć mu myśli. Płaczą się w nim jakieś usiłowania ku opanowaniu siebie. Zaciskała się pięści. Kurecz chwytła za szczeki, w uszach głuche, jak z pod ziemi, dzwonienie.

Z zamętu wirujących w pedzie myśli, strzępów myśli, pół-obrazów, straszdeł, jakichś okropnych wspo-

nień rzeczy niewiadomo kiedy przeżytych czy prześnionych — dobywa się nieprzeparta żądza śmierci, zniszczenia, nicości. Zabić ją — zabić siebie. Niechże nareszcie... Niechże już raz!...

Za wszystkie męki tylu lat! Za miesiące spędzane w ponurej ciepłowości, w oczekiwaniu na godzinę okrutnej łaski, na chwilę spojrzenia, która rozjątrzała do głębi — tęsknotę... Ileż razy objechał świat, goniąc za nią! Ileż razy skradał się, czekał godzinami, żeby móżdżk ujrzeć ją przelotnie, zdała, niepoznany — mknąca w samochodzie, wspartą u okna... Ile poniżenia, ile chytrych, brudnych zabiegów dookoła mistress Brigs, która niepojętym swym wpływem odgrodziła ją od świata i panuje nad nią, panią swoją...

Jakiś bezbożny bunt wzbierał w nim. Nienawiść do mistress Brigs — do Matterhornu — do niej samej...

— Wszędzie są tajemnice, Robercie! Ludzkość dzisiejsza stępiła w materyalizmie, w naiwnej pewności ciemnego człowieka, któremu się zdaje, że rozumie wszystko. Obrzydły wiek! Rozumie gwiazdy na niebie, życie i śmierć, najszczytniejsze otchłanie duszy klasyfikuje medycyna i wytepia, jako obłąd. Zmarniały religie w rękach ludzi, niegodnych bezmiarów idei katolickiej, w rękach ohydnych ministrów protestanckich, wstrętnych w głupocie wszystkich sekt. Wiara średniowieczna! Wiara starożytnych, najmądrzejszych, jedynych, którzy czcili szczyty gór! Olimp... Dla mnie bogiem jest mój szczyt szczytów... Jedynie, dostępne człowiekowi wcielenie... Ogrom, potęga, wieczne milczenie... Co za rozkosz ukorzyć się przed nim w modlitwie. A ten, który stanie na jego szczycie... O, szczęście!... To już kres chwały człowieka. Po tem nastąpić może tylko śmierć. Jakaż pogardę mam dla tych bezdusznych wspinaczy, rekordmenów, którzy depczą święty ten szczyt, jak każdy inny, i nie nie czują... Jakżeż się cieszę za każdym razem, gdy się dowiaduję, że Matterhorn stracił kogoś, zabił, roztrzaskał na strzępy, zamroził w noc zawieje śnieżnej, przywalił lawiną... Bo tam wspiąć się mają prawo tylko wtajemniczeni, tylko wybrani. Bo za to szczęście zapłacić trzeba życiem, jak ci pierwsi, co usiłowali wdrzeć się... Kiedyś i ja spróbuję... Słucham lekarzy, o ile tylko mogę. Słucham się mistress Brigs. Leczę się. I kiedyś wejdę. Będę na szczycie. Stanę, roztworzę ramiona, ogarnę cały świat, zrozumiem cały świat — i runę... A teraz czekam. Czekam na cud... Robercie, wiesz ty, co to jest oczekiwanie cudu?

Spojrzał na nią rozpaczliwie, złożył ręce i chciał mówić. Oczy jej pijane były namiętnością — oddy-

chała ciężko, głęboko, falowała jej pierś pod cienką szatą.

— Ja płonę cała w oczekiwaniu. Oblewają mnie strumienie ognia! Jakieś wielkie objawienie spływa na mnie. Staję się Pythią, odurzoną świętym dymem, jak opętana średniowiecza... Ach, Robercie! Czy ty rozumiesz... czy ty wiesz...

Robert już nie rozumiał, co do niego mówiła. Już go zaraziła obłędem. Zatracił pamięć. Zapomniał o przeklętych górach, których się bał, gdzie cierpiał niewymownie. Przeszła go tłoczyć masy skał i śniegów, nie szarpały mu mózgu bezmiernie, puste przestrzenie.

Przepaściste, obłakane oczy Jenny wciągały go w siebie. Nigdy nie była tak piękna. Dzwon w uszach huczał wciąż, głuszac w nim wszystkie myśli. Ktoś za niego myślał, ktoś jego, uśpionego, prowadzi.

Coś mu nakazują te oczy. Po raz pierwszy w życiu oczy Jenny czegoś od niego chcą. Słyszysz głos Jenny, widzi, że poruszają się jej wargi. Co za cierpienie—nie nie rozumieć! Czego chcesz? Co mówisz? — powtórz!...

Głuchy grzmot lawiny zatrzęsł szczytami. Długo, przeciągle huczały jego echa, jak dalekie odgłosy burzy. Jenny rozchyliła usta w upojeniu i odychała szybko, coraz szybciej. Białe ręce błędziły koło szyi koło piersi, chwytaly za sere i przyciskały je mocno, mocno... Oczu nie odrywała od nieba, gdzie miał się objawić jej cud.

Tak trwali w milczeniu. Chwilami głowa Jenny opadała bezsilnie na oparcie fotela. W wyczerpaniu odwracała oczy od nieba i spoglądała na Roberta. Wówczas w jej oczach świeciły iskry, od których chwytano go szaleństwo. Ale cudna jej głowa odwracała się wnet, wzrok wpiął się znowu w niebo i Robert zapadał znowu w sen dręczący i napróżno mowował się ze swoim snem.

Jak sen, wydawało mu się całe jego istnienie. We wszystkim była mgła, niepewność. Pomąciły się w jego pamięci czasy i miejsca. Gdzie jestem? Kim jestem? Momenty okropnego naprężenia woli ku odgądnieniu tego — momenty bezwładnego zapadania kędyś na samo dno, w głuchy sen...

Jenny zapomniała, że nie jest sama. Usta jej szeptały niezrozumiałe słowa, twarz bładła i zalewała się rumieńcem, pierś falowała szybko, głęboko... Na chwilę wstrzymywała oddech i mocno przyciskała serce — zamierała w oczekiwaniu.

Bo oto w zbitej ścianie ołowianych, szarych chmur przeblyskiwać zaczęły jasne smugi. Rozjaśniało się tu i owdzie, gasło i nieciło się w innym miejscu, wyżej, niżej, jakby blade światło. Słońce walczyło z opołą chmur, biło promieniami w grubą masę, otwierało sobie szczeliny, darło na strzępy mgły, które w nie-

pokoju, w ucieczce spływały poniżej, słały się nad lodowcem, czepiały się czarnych ścian, kryły się w przesmyki i czeluście, między żebra skalne, wpełzały w tajemne kotły skalne, wiszące nad ścianą, jak kamienne gniazda i, spychane przez szalejące tam pokrętne wiatry, spadały rozstrzępione na kolosalne usypiska, drąc się na ostrych zwałach skał i znikając bez śladu, jakby gasnąc nad samym lodowcem.

Na wyżynie zwarte, sine chmury przesunęły się wciąż ku wschodowi. Przewalały się ciężko, z trudem i z oporem przez niższe grzbiety. Kładły się na graniach, mocowały się z wiatrem, wspinały się i przechylały, jak potworne okręty, miotane przez burzę. Zbijały się w gromady, wypiętrzały się ku górze, napierały na siebie. Aż wreszcie przepychał je wichur przez jakieś niewidzialne wrota i przelece i wówczas jasne plamy dalekiego słońca przebijały się na sinem, chmurnym tle.

Raz i drugi — tu i tam już przeblysnęły śniegi na lodowcu przenikliwą, oślepiającą białością.

Jak oddech życia, przeleciało słońce po martwej płaszczyźnie. Drgnęło wszystko wokół i zaśmiało się. Ponure oblicze gór rozjaśniło się na jeden moment. Ta chwila łaski, uśmiech przelotny zagniewanego pana przepelił duszę Jenny niewysłowionem szczęściem.

Przeszył ją dreszcz radości.

Chwila za chwilą już coraz częściej strzalały słońca przebijały się przez chmury i olśniewały wzrok nagłym i szybkim, jak błyskawica, blaskiem śniegów. Każdy pocisk słoneczny godził prosto w duszę Jenny. I za każdym razem rosnęła w niej władanie swoim szczęściem. Krok za krokiem, szybko, szybko szło ku niej coś najtajniejszego. Ktoś porwał ją całą i wszystką z duszą, z ciałem ku niewiadomemu. Już dawno spoczywa bezwolna w milczącym oczekiwaniu, szarpana przeczcuciem rozkoszy. Teraz czuje, że już zawisła nad nią czyjaś przepiętna wola. Już ją ogarniają miażdżące ramiona potęgi. Pochyla się nad nią szeroka, jak świat, pierś, olśniewająca od śniegów, zalanych słońcem.

Jenny przymyka oczy przed oślepiającym blaskiem i tuli się do piersi olbrzyma. Jeszcze czyjeś o-



krucieństwo każe jej czekać — między życiem a śmiercią — przedłuża ostatnią, nieskończoną chwilę przed ostatecznym zatraceniem...

Już nie podoła Jenny okropnej męce. Jęk bólu, błaganie o litość, o śmierć szybką, łkanie rozpaczy. Czyjaś obca siła zgniata ją i rozpręża, miota jej ciałem, podnosi ją i rzuca z powrotem.

Hen, na wyżynie, na polaci wolnego, modrego nieba, stał ponad chmurami szczyt. Białe od śniegów, pochylony jego dziób godził w głębię niebios. Jego niewysłowiony w cudzie kształt kreślił się w przestrzeni jak zjawisko niepojęte. Była boleca do głębi duszy nadludzka potęga jego piękna. Zamało było człowieczej siły na podołanie wielkości. Nie do wiary zdawało się oczom widziadło.

Dymiąc i kłębiąc się, płynęły poniżej chmury. Ponad chaosem panował On, zagarnął pod siebie wszystko i wszystko usłało się u jego stóp. Ostra jego pierś pruła nawalę szybkich chmur, szczyt zdawał się sunąć kędyś ponad światem.

Jeszcze walczyły chmury, jeszcze się gromadziły w zbite ławice i nacierały zajadłe. Dźwigały się ciężko, sięgając ku szczytowi strzępiastymi płatami. Roztrzęcały się i ginęły, spływały szybko potokami mgły po granitowych ścianach, zaścielały zamętem usypiska, pola śniegowe, lodowce.

Gnały je po kamiennej pustyni wichry wyjące i roztręcały na pył — zmiatały ich szczątki na nieogarnioną, białą nizinę lodowca i tam wytręcały do reszty. Tam ginęły, gasły bez śladu zastępy chmur. Nieprzebrana zdawała się ich mnogość, niewyczerpany był dech wicherowy. I na chwilę utonęło wszystko w zamęcie ostatniej walki. Mknąc w popłochu, zasłoniły mgły cały świat.

Aż stał się cud. Od jednego rzutu, jak na rozkaz, rozwarła się opona i stanął szczyt w całości swej chwały od samych stóp — aż po wyżyny, gdzie godził w niebo jego orli dziób.

Przestrzeń zdawała się rozegrzmieć jednym okrzykiem zachwyty.

Jenny leżała rozkrzyżowana na kobiercach, powalona przez uwielbienie, zmiażdżona przez cios wypełnionej rozkoszy, nieprzytomna i bezwładna.

Robert zasłonił oczy przed straszliwym obrazem nienawistnego szczytu, który walił się na niego, zdejmował go strachem, odrazą, macił mu w mózgu, odbierał wszelkie władanie sobą, płał mu ruchy rąk, które, bezładne i drgające, cisnęły się do oczu, czepiały się sprzędów. W piersi czaił się okropny, wysiłony wrzask obłędu. Pokonywał go ostatkiem sił.

DCN.

List do Warszawy.

Co porabiacie, przyjaciele,
gdyście samotni nad wieczor^{em},
gdy się po ścianach światło ściele
cieniów widziadłem różnowzorem?

Co porabiacie, przyjaciele,
szarą godziną w cichym mroku,
gdy w duszy cicho, jak w kościele,
i świat ma widzeń na widoku?

Czy zawsze waszą myślą cichą
„sny o potędze“ są złociste?
Z bliźnimi gierka w cetno licho
i jakie beda zyski „czyste“?

Czy zawsze tuli tam do łona
ten stary bankier brać ubogą —
jeśli gdzie ukradł pół miliona
że dał sto rubli — sławy mnogo?

Czy zawsze tam jest taka wielka!
owa radczyni w kształcie dzbanka,
omal że nie obywatelka,
omal że z domu nie szlachcianka?

Czy zawsze tam jest ta hrabina
dowcipna, miła i uczynna,
gra w winta i poucza syna
co mu jest w życiu Polska winna?

Czy ów gość, miły tak w salonie,
którego usta honor ślinia
jak markę po odwrotnej stronie,
jest zawsze jednakową perłą?

Czy zawsze kwitnie ta powiewna
nimfa wśród cześci i beześci — —
w końcu rzecz żadna nie jest pewna
i wszystko się gdzieś w świecie zmieści.

Czy zawsze jest ów pan bogaty
panem, furmanem i balwanem
morskim, co różne zwiedza światy,
w końcu zostaje kamerjeanem?

Jakże się miewa ów mistrz w kojce
kurze pędzacy myślicielstwo?

Czy zawsze ma za świętą trójcę
siebie, kraj i obywatelstwo?

Czy zawsze wewnątrz chytrej duszy
myśli, że lepiej, niżli popchać
rzeczy, od których wiedną uszy
obywatelskie: jest się dopchać?

Zawsze ta panna w „życie nowe“
krocząca z trąbą, przy pochodniach,
musi mieć w czapce męskiej głowę,
papieros w zębach, duszę w spodniach?

Czy zawsze zreżny ów artysta
gustom publiki jest powolny
i nikt nie mówi: aferzysta!
lecz każdy mówi: jaki zdolny!...

Zawsze chłopaczek postępowy
doktryną i prywatą mierzy —
i myśli, że mu orły z głowy
leca, a to się sroka pierzy?

Zawsze poccie, co blaskami
geniuszu erudycji błyska,
mylą się z książek tytułami
autorów książek tych nazwiska?

(Czemu nie dziwię się bynajmniej —
niech mię tak strzeże Błagasdur
gdy autor zwie się Magulgajmniej,
a księga Pozapapugpazdur).

A ówże mierny człowieczyzna,
wyrzynek poetyckiej nacyi,
czy zawsze strofki swe wyrzyna
z równą obstrukcją inspiracyi?

I ten kochany tak wisusek
zawsze w Warszawie w takiej cenie — —
coś tam wziął w kieszeń za calusek,
coś tam za inne polecenie...

I owa pani z brylantami — —
ah! gdzieżeście się to spotkali,
że gdyście byli poza drzwiami,
pieski się od was „odwracali“?

No ale dosyć teraz o tem —
noc się od złotej błyszczą plamy —
może się kiedy jeszcze potem
o innych miłych zapytamy.

Hall Caine.

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

2

Powieść w 3-ch tomach.

Rozdział III.

Pierwszem, wyraźnym wspomnieniem, wynurzającym się z mgieł mego niemowlęctwa, jest wielki pokój, a w nim ogromne łożo, wielka szafa, wielka tualeta i wielki klęcznik z wi-

szącym nad nim obrazem Najświętszej Panny, i otwarte okno, na którego ramie co rano świergotał wróbel.

Gdy zaczęła uświadamiać sobie doznawane wrażenia, doszłam do

przekonania, że był to pokój mojej matki, i że ta śliczna postać, wyciągająca do mnie ręce i obsypująca mnie pieszczotami, gdybym próbując chodzić, upadła, to była ona.

Ponieważ widywałam ją tylko w tym pokoju lub w powozie, gdyśmy w ciepły, słoneczny dzień wyjeżdżały na spacer, wnosząc stąd, iż od dnia mojego urodzenia była ciągle chora.

I twarze, które naprzód dokoła

niej widywałam, to były łagodnie uśmiechnięte oblicza doktora Conrada i Ojca Dana. Przypominam sobie wesoły głos tamtego, gdy po śniadaniu wchodził do pokoju ze słowami: „I jakże się dziś czujemy, droga pani?” i jeszcze sympatyczniejszy głos drugiego, pytający: „A jak się miewa moja córeczka?”

Kochałam ich obu, ale zwłaszcza Ojca Dana, który nazywał mnie pociechą i udręką swego życia, i, wyśpowiadawszy moją matkę, zaczynał zaraz bawić się ze mną na czworakach w chowanego. Pamiętam jego długą sutannę, szczelnie pod szyją zapiętą i rozszerzającą się od dołu, i jej duże, ogromne kieszenie, z których uczyniłam sobie schowanka, składając w nie moje zabawki, lalkę, a nawet i resztki łakoci, jako w najbezpieczniejsze schowanie.

Moja matka nazywała mnie swoją ukochaną Mally (spieszczenie Mary) i musiała karmić mnie bardzo długo, bo pamiętam wyraźnie jej białe, gładkie piersi, wczbrane mlekiem. Sypiałam w plecionej z łozy kołyszce tuż przy jej łóżku, by zawsze mogła dosięgnąć mnie ręką, jeśli się w nocy odkryła. Nazywała mnie ptaszyną, byłam bowiem ruchliwą i świergocącą nieustannie, jak pliszka.

Lecz jeżeli ja miałam w sobie coś z ptaszka, to matka moja była jak kwiat: jej jasnowłosa, mała główka i delikatna, zawsze lekko zaróżowiona twarzyczka, wdzięcznym pochyleniem ku przodowi przypominała różę, zwieszającą się z łodygi. Zawsze prawie ubierała się czarno, ale nosiła biały, koronkowy kołnierz i kwef, jak widzimy na starych portretach, i gdy ją sobie uprzytomnię taką, jaką była, z temi wielkimi, przejrzystymi oczyma i pełnymi słodczyzy usteczkami, to zdaje mi się, że była chyba najpiękniejszą kobietą na świecie.

I wydziwić się nie mogę, że inni, zwłaszcza mój ojciec, nie widzieli tego. Zapewne; kochał on ją na swój sposób, ale było coś lekceważącego w jego przywiązaniu, co nie uszło baczności moich dziecięcych, bystrych oczu. Matka moja bała się go widocznie i była zawsze pomieszana i o nieśmielona, gdy wchodził do pokoju ze zwykłym powitaniem:

— No, i cóż tam, Izabelo? Jak się miewa twój dzieciak?

Od najwcześniejszych lat zauważałam, że ojciec mówił zawsze o mnie, jakgdybym była tylko dzieckiem mojej matki, nie jego, i może to wpłynęło na ochłodzenie moich dla niego uczuć.

Napelniał mnie też przestraczem. Drżałam zawsze, usłyszawszy jego donośny, szorstki głos, i myślę, że ten lęk wrodzony przyniosła już ze sobą z łona matki.

Jeśli przychodził na górę, gdy m leżała w łóżeczku, dawałam zawsze nurka pod kołdrę, jak kaczka pod wodę, lub, jeżeli byłam ubrana, cho-



...Lubiłam ogromnie muzykę i moja matka uczyła mnie śpiewać przy pianinie.

wałam się za fotel matki, wstrzymując oddech w piersiach. Nie pamiętam, żebym mu się kiedy wdrapała na kolana, jak to zwykły czynić dzieci, lub żeby on mnie popieścił.

Matka moja cierpiała nad tem i niejednokrotnie próbowała przezwyciężyć i moją obawę, i obojętność ojca. Ale jej się to nie udawało. Była naprzykład bardzo dumna z moich włosów, już w dzieciństwie czarnych, jak heban, i czesała mnie z przedziałkiem na środku, gładko, wzdłuż czoła. Pewnego dnia, gdy ojciec był z nami, wyciągnęła mnie z ukrycia i rzekła:

— Prawda, jak nasza Mary ładnieje? Przypomina trochę obrazu Matki Boskiej... nie uważasz tego, Danielu?

Na co mój ojciec roześmiał się drwiąco i odpowiedział:

— Ładnieje? Podobna do Najświętszej Panny?... Ha! być może! być może!

Lubiłam ogromnie muzykę i mo-

ja matka uczyła mnie śpiewać przy pianinie, które miała w swoim pokoju. Innym razem więc rzekła:

— Wiesz, Danielu, nasza Mary ma taki cudny głos! Czysty i słodki, że gdy zamknę oczy, zdaje mi się, iakgdybym słyszała śpiew anioła.

Na co mój ojciec roześmiał się, jak poprzednio, i rzekł:

— Anielski głos? Proszę? Cóż tam więcej wynajdziesz?

Moja matka szyla mi zawsze sama sukienki. Nie potrzebowała tego robić, ale w braku gospodarskich zajęć stanowiło to dla niej rozrywkę. Raz uszyła mi aksamitną sukienkę, skopiowaną z jakiejś starej, kolorowej ryciny, wygorsowaną i z krótkimi rękawkami. Ubrawszy mnie w nią, rzekła:

— Prawda, że nasza Mary wygląda, jak księżniczka? Ale ona będzie zawsze wyglądała, jak księżniczka, cokolwiek by włożyła na siebie.

Teraz ojciec roześmiał się jeszcze pogardliwiej i odpowiedział:

— Jej babka pełta grędy i brała za to dziewięć pensów dziennie.

Matka moja była głęboko religijną; modliła się zawsze, klęcząc przed obrazem Najświętszej Panny; to też, ujrawszy mnie kiedyś klęczącą w łóżeczku, z oczyma utkwionymi w suficie, ucieszyła się ogromnie i opowiedziała to ojcu.

— Nie uwierzysz, Danielu, jaką żarliwością i skupieniem tchnęły oczęta tego maleństwa — mówiła wzruszona. — Może jeszcze kiedy zostanie zakonnicą.

— Zakonnicą? — powtórzył ojciec. — A, niechaj. W sam raz dla niej karyera!

Matka moja nie odrzekła, ale uczuła się głęboko dotkniętą w swej macierzyńskiej dumie i zaprzestała zwierzać się ojcu ze swoich co do mnie rojei.

Rozdział IV.

Oprócz mego ojca, była jeszcze w domu cała gromadka osób, nie mogących się pogodzić z moim istnieniem, a na jej czele ciotka Brygida.

Ciotka Brygida wkrótce po ślubie mojej matki wyszła za pułkownika Mac Leod'a, wdowca w średnim wieku i towarzysza knajpowego mego macierzystego dziadka. Umarł on w rok po ożenieniu, zostawiając ciotkę Brygidę z dzieckiem i z córeczką z pierwszego małżeństwa. Ponieważ stało się to na krótko przed moim urodzeniem, kiedy matka moja ciągle niedomagala, ojciec zaprosił ciotkę Brygidę, by zamieszkała u nas i zajęła się gospodarstwem, na co ona przystała ochotnie.

Rządy ciotki Brygidy były tak twarde, jak tego można było oczekiwać po osobie, chętniej się swoją nieugiętą wolą. Trzymała wszystko i wszystkich w korbach, nie wyłączając mojej matki i mnie. Natomiast była bezgranicznie słabą matką dla swojej córeczki, którą psuła, ulegając wszystkim jej zachciankom.

Córeczka ciotki Brygidy, o rok starsza odemnie, była dzieckiem o jasno-siwych oczach, rumianych i okrągłych, jak dojrzałe jabłko, policzkach i długich, żółtych włosach, starannie w loki czesanych. Na imię jej było Betsy. Nosiła zawsze muslinowe białe sukienki i błękitne jedwabne szarfy, ciągle coś jadła i nadawała sobie tony córki domu.

Pasierbica ciotki Brygidy, starsza o dziesięć lat, była koścista, niezgrabną dziewczyną, o czerwonych włosach i zmiętych rysach. Na imię jej było Nessy. Mając poczucie swego zależnego położenia, była pokorną do uniżoności względem „sfer miarodajnych“, co oznaczało moją ciotkę, ale zuchwałą i dokuczliwą odnośnie do wszystkich, którzy nie

cieszyli się łaskami ciotki, a zatem i do mnie.

Pomiędzy moją siostrą cioteczną a mną przychodziło do ciągłych zatargów, w których Nessy Mac Leod brała zawsze stronę Betsy, a moja biedna matka zносиła tysiączne przykrości i docinki od ciotki Brygidy, nazywającej mnie małą jędzą, najhaniebniej wychowywaną.

Te drobne utarczki trwały dość długo, aż wreszcie wynikły z nich doniosłe rezultaty.

Matka moja namiętnie lubiła kwiaty. Stary Tommy, ogrodnik, wiedział o tem, i codziennie przysyłał jej na górę wiązanek najpiękniejszych róż, konwalii i innych kwiatów, jeszcze rosą ranną zwilżonych. Ale pewnego dnia, wiosną, nie miał czasu uczynić tego. Ja miałam już lat sześć i postanowiłam go zastąpić.

— Poczekaj, matuchno, będziesz miała zaraz kwiatki — rzekłam i, uzbrowszy się w nożyczki, zbiegłam do ogrodu.

Wybór mój padł na klomb tulipanów, ponieważ były barwne i pachnące, ale zaledwie ścięłam kilka. Nessy Mac Leod, która śledziła mnie z okna, dopadła do mnie z krzykiem:

— Mary! ty mała jędzo, jak śmiesz! — zawołała. — Co powie twój ciocia? Czy nie wiesz, że to jest klomb Betsy, i że nikt nie ma prawa dotknąć się go?

Zacząłam się tłumaczyć, dla kogo to robię, ale Nessy nie chciała mnie słuchać.

— Twojej mamie nic do tego. Ciotka Brygida rządzi domem; nic nie może się stać bez jej pozwolenia.

Tego było dla mnie zawiele. W moim dziecięcym serduszkutailo się zdawna poczucie upokorzonej dumy, gdy patrzyła, jak ciotka Brygida zajmuje miejsce mojej matki w jej własnym domu; teraz więc nie wyrzekłam ani słowa, lecz cała drżąc z oburzenia pościęłam wszystkie tulipany z klombu i ledwo mogąc udźwignąć to olbrzymie narecze kwiatowe, pobiegłam z niem do pokoju mojej matki.

W parę minut potem dom napęłnił się krzykiem. Ciotka Brygida, brzęcząc kluczami, które zawsze nosiła u pasa, wpadła na górę.

— No! — zaczęła krzyczeć. — Chyba teraz jesteś już zadowolona ze swojej iedynaczki!

— Cóż tam Mary zrobiła takiego? — zapytała moja matka.

— Nie pytaj mnie, co zrobiła. Sama to wiesz dobrze. lub przynajmniej powinnaś wiedzieć.

Moja matka spojrzała na kwiaty i teraz dopiero pojęła, co się stało; rzekła więc pokornie:

— Mary źle zrobiła, ale zapewne tego żałuje i nigdy już tak nie postąpi.

— Żałuje! — powtórzyła ciotka Brygida — Właśnie! Ani jej się śni.

To mała, szkaradna jędza! Ale co się dziwić, że dzieci są psotne i niegrzeczne, kiedy matki nie unieją czuwać nad nimi i ukarać, gdy potrzeba.

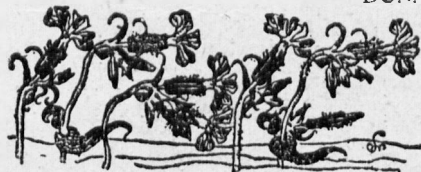
— Masz słuszność, droga Brygido — odpowiedziała moja matka cichym, poważnym głosem. — Ty masz zawsze słuszność. Ale, widzisz, chora jestem, a Mary, to wszystko, co mam na świecie.

I rozplakała się; ale ciotka Brygida nie zadowolniła się takim tryumfem. Poszła na skargę do ojca; on zaś wydał rozporządzenie, że ponieważ matka moja nie ma zdrowia, by kierować moim wychowaniem, mam odtąd pozostawać pod wyłączną opieką ciotki Brygidy, co znaaczyło jeść owsiany chleb i kleik i sypiać sama w zimnym pokoiku nad hallem, podczas gdy Betsy opychała się ciastkami i sypiała z matką w pokoju nad kuchnią, gdzie było zawsze ciepło.

Ta zmiana warunków, tak bolesna dla mojej biednej matki, miała tę dobrą stronę co do mnie, że mogłam z większą swobodą wymykać się do ogrodu i przebywać ze starym Tommy, który mnie bardzo lubił, może dlatego, że nienawidził ciotkę Brygidę. Nazywał ją zawsze wielkoludem w spódnicy i twierdził, że wcześniej lub później piekło ją pochłonę.

Pozatem darłyśmy po dawnemu koty z Betsy, aż wreszcie, ojciec mój, zniecierpliwiony ciągłymi hałasami, oświadczył, że ma tego dosyć i że trzeba nas wszystkie trzy posyłać do szkoły.

DCN.



Wiadomości literackie.

NEMEZYS. powieść F. Hoesicka

P. Hoesick wziął do swej powieści temat, obróbenie którego dało już literaturze świata dwa arcydzieła: „Dominika“ Fromentina i „Bez dogmatu“ Sienkiewicza. Temat to prosty: dwoje młodych snuło za szkolnych czasów sen o miłości; mogli byli może się pobrać, gdyby nie różne — *gdyby*... Ona wyszła za kogo innego; po latach spotykają się, ona w pełni kobiecej potęgi, on mężczyzną, świadomym wreszcie tego, co utracił: szereg rozmów, scen, wyznań, parę pocałunków; i wreszcie kobieta mówi twarde a ostateczne: nie! Fromentin temat ten utrzymał na wyżynie niesłychanego wdzięku i czystości uczuć; Sienkiewicz poigrał nieco zmysłami, z wielką męstwą, aby spuścić się wkrótce w samą głębinę rozdartych przez tragedję dusz ludzkich; Hoesick ujął ten temat oryginalnie, po swojemu, utrzymując go w całości niemal w sferze zmysłowego życia. Nie można mieć do autora pretensyi o założenie dzieła. Można go krytykować

tylko za wykonanie zamiarów. Powieść p. Hoesicka dość zwycięsko wychodzi z próby. Jest ona zgrabnie pomyślana, jako kompozycja; jest napisana bardzo gładko i poprawnie; akcja została wprowadzona ręką rzuconą na barwne tło francusko-hispańskie kąpielowego życia w Biarritz. Dopóki bohaterowie nie mówią ze sobą minorowymi tonami o rzeczywistej miłości, czyta się to wszystko lekko, z częstym uśmiechem na ustach. Gdy o tej miłości zaczyna się rzecz nasery, czytelnik czuje, iż bohaterowie sobie kłamią, i ma pretensję do autora, że czytelnika nic o tem nie przestrzeżę.



Ferd Hoesick

Zresztą, udało się autorowi nakreślić wcale dobry typ polskiej piękności ze sfer wysokiej warszawskiej burżuazyi. Bogata, zbyt kownie wychowana panna, podkształcona w literaturze i we flircie przez studenciaka, który stame się kiedys literacką sławą świata, a którego nazywa tymczasem swym „mussecikiem”, wychodzi za mąż — oczywiście, nie za mussecika, ale za bardzo bogatego akcyonaryusza i dyrektora wielkiej fabryki żelaznej, młodego, zdolnego, przyzwoitego człowieka; dar niebezpieczny pusze ją: piękność. Jest „wesola, płochą, zalotną, ba, zaczepną”. Jest „zepsuta tym darem kokieteryi, którego skuteczność wprawia ją samą w zdumienie”. Jest przytem „zimna, niewrażliwa, bez zapalu”. Jest w niej przecież i coś dobrego: zachowała wiarę, umie się modlić, ocenia jakimś zmysłem sprawiedliwości przywiązanie swego męża, nienajgorsza z niej matka. Ma jednak zbyt dobre o sobie pojęcie, gdy mówi o swej „prawości”, a zwłaszcza o „czystości” swych uczuć. Spotkawszy owego mussecika po latach, po pierwszych powitalnych słowach mówi doń: „eh, zrobię z panem, co zechcę!” Jest to deprawacja i trud uczuć. Kokietuje go zawzięcie, pociąga, jak może i czem może, a gdy jej ofiara reaguje na to w sposób naturalny, ona — wymierza mu silne a złośliwe policzki: „Mój panie, ja znam mężczyzn, a pan jesteś taki sam, jak inni, tylko bardziej wyrafinowany!” „Wszyscy jesteście jednakowi, wszystkim chodzi o to samo”.

Zresztą, czytelnik nie żałuje bohaterki. Ten Popiel, którego Warszawa wygryzła za zbytnią szczerość i który w Paryżu stał się bardzo sławnym i modnym Paupière'm, współpracownikiem „Revue des deux mondes”, współnikiem Sardou, przyjacielem Rostanda, jest bardzo pospolitą osobą i na grubym lew kokieteryi pięknej warszawianki idzie z naiwnością studenta a lubieżnością satyra. Wspólne kąpiele, wspólne spacerki, wspólne herbatki rozgrzewają go aż do desperacji. I tę desperację oboje biorą za miłość. Czy p. Hoesick mógłby zrobić ciekawszy typ tak pomyślanego Popiela, — wątpię. Ale niemniemam, że mógłby uczynić prawdziwszą literacko postać z pani Heleny, gdyby pomiędzy motywami jej oporu wymienił te, które takie pannie głównie powstrzymują od upadku: obawa komplikacji, niechęć do podległo-

ści, wstręt do kłopotów, — owo wymowne: „a na co mi to?!”, które tak często u zimnych kokietek zastępuje moralność. Wprawdzie autor uczynił z pewną szkoda artystzmu wysiłek w dziedzinie moralności i należy mu się uznanie od tych, którzy nie chcą, aby sztuka była tylko jawnogrzesznica. Głębszy czytelnik wolałby jednak grzech i reakcję jego: odrodzenie, aniżeli ową półmoralność, wyznawaną połową duszy pięknej pannie, nie mającej do swego rozporządzenia tej duszy — większej ilości. I zamykając książkę Haesicka, niewiele jest zbudowany cnotą pani Heleny. „Po co żeś go w takim razie ciągnęła tyle czasu?” — mówi pod jej adresem. Gdyby jeszcze czytelnik ten miał trochę przekonania, iż dla dwojga tych płytkich osób epizod biarricki stanie się czemś więcej, niż numerem w kolekcji wspomnień?! Autor to sugestyonuje wprawdzie czytelnikowi, ale to jest najmniej udany z jego zamiarów. Inne znacznie lepiej się Hoesickowi powiodły. Opisy życia kąpielowego są bardzo żywe. Opisy rozmaitych poczynań pani Heleny ku zapaleniu dawnego swego mussecika traktowane z miarą dostatecznie literacką

A. Pawłowski.

TREŚĆ № 2.

„Pleniądz” Powieść. *Andrzej Strug*. Listy do Warszawy. Poezye. *K. Tetmajer*. Dana od Boga. Powieść. *Hall Caine*. Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI
Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor **STEFAN KRZYWOSZEWSKI**.
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Dunajewskiego 1.

Druk Towarzystwa Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.



Z dziedziny kosmetyki.

Mundciowi. Zęby nawet najczarniejsze wybieli proszek *Albol*. Po ogoleniu wetrzeć w twarz odrobinę *Abaridu* i popudrować pudrem abaridowym.

Stalej Prenom. Zmarszczki z twarzy usunie masażystka *Heros*, która wysysa z pod skóry zapory, tamujące dopływ krwi; wszelkie masaże gniecione lub pukane są śmieszne poprostu, gdyż żadnego wpływu nie mają. Masaż ssący musi być robiony systematycznie, codziennie po kilkanaście minut, na noc trzeba wcierać w twarz odrobinę *Abaridu*, myć się rano *Otrąbkami abaridowymi*, nie innemi, bez mydła, i pudrować twarz pudrem abaridowym. Żadnego tłuszczu nie kłaść na twarz. Zmarszczki się tworzą lata całe, usunięcie ich nie może być dokonane napoczekaniu. Wszystkie środki, prócz *Abaridu*, są bezużyteczne.

Osiemnaścieletniej. Plegi usunie *Precioza*, zaś wągry *Pureol*.

Switeziance. Wyroby abaridowe są w reprezentacji W-go Pawłowskiego we Lwowie. ul. Akademicka, 21.

Maryi Sz. Zadawnione wągry tylko masażystka pneumatyczna systemu *Heros* usunąć może.

Janinie. Ciemną cerę pojaśni pyłek *Juvenia Candida* na podkładzie *Abaridu*, szyję zaś ten sam pyłek, lecz na podkładzie *Preciozy*.

Zuli. Za słowa uznania serdeczne dzięki. Wszelkie pigułki, zażywane wewnątrz bez lekarza, nie mogą być stosowane, wreszcie prawie nigdy nie pomagają. Jeśli idzie o poprawienie form biustu, to masażystka *Heros*, specjalna do biustu, jest środkiem najpewniejszym i zupełnie nieszkodliwym.

Uczniakowi. Na porost wąsów *Tortulea*.

Oleńce. Jeden jest tylko środek, rozjaśniający włosy bez szkody dla owłosienia, to jest płyn *Hella*, dający przeszczepny, naturalny odcień blond lub kasztanowaty. Ślady po ospie znikną przy bardzo starannem przez długi czas używaniu masażystki *Heros*. Trzeba mieć cierpliwość, bo to najmniej roku czasu wymaga. Komplet masażystek do twarzy i biustu kosztuje 10 rubli. Sposób użycia dołączamy.

Krakowiance. Przy łuszczeniu skóry na głowie, wskutek czego i cebulki cierpią, czego następstwem jest wypadanie włosów, trzeba skórę na głowie przez miesiąc przynajmniej smarować pomadą żółtą *Tortulea* co drugi dzień. Po zużyciu stoika całego wyczyścić głowę zupełnie z tłuszczu, bez mycia, na sucho, specjalnym pudrem *Florentine*, i codziennie skrapiać wtedy *Tetralem Tisso-ta* przy rannem czesaniu się. Łuszczenie, które objęło czoło i część twarzy, trzeba rano smarować kremem *Neutre* bardzo cienko i zapudrować całą twarz pudrem abaridowym, na noc zaś wcierać lekko w twarz *Abarid*. W Krakowie dostanie się u Miklaszewskiego, pl. Domonikański.

Do Wszystkich. Środki te mają na składzie firmy: „Perfection”, Szpitalna, 10, i *Paszkowski*, Marszałkowska, 109, oraz Nowosenatorska, 2, w Kijowie *Niwiński*, w Łodzi *Spieß*, w Wilnie *Grużewski*, w Sosnowcu *Jagiellowiez*.
Na kopertach należy dopisać: „Dział kosmetyczny”. *M-me Ercedès*.

Nakładem Akc. Tow. S. Orgelbranda Synów w Warszawie wyszła i jest do nabycia we wszystkich księgarniach najnowsza komedia w 3-ach aktach *Stefana Krzywoszewskiego*
Dyabeł i karczmarka.

Siwe włosy

gina bezpowrotnie po jednorazowym użyciu „Wody Felanin”. Woda ta nie farbuje, lecz przywraca naturalny kolor włosów. Nie zawiera tłuszczu ani osadu. Nie brudzi skóry, proszę raz spróbować jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy z powrotem: skład główny perfumeryjny J. Wróblewski, dawniej Lipin. Wierszowa róg Niecałej, tel. 75-56. Wysyłka za salicentem.

MOR TĘPI RADYKALNIE
szczyry i myszy
wyłączna sprzedaż
ST. STANISZEWSKI
Warszawa, Krak.-Przedm. № 31
Skład apteczny i perfumeryjny.